Nr. 28. We Lwowie dnia 15. lipca 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Akademja krakowska przed sądem publiczności.

Ogół nasz nad wyraz rzadko miał dotychczas sposobność słyszeć o Akademji Umiejętności w Krakowie i o jej wydawnictwach. Największa w tem wina samej Akademji, która niczem się nie postarała, aby o niej wiedziano, nie zawiadamia o swoich pracach, dziennikom dzieł swoich do sprawozdań i oceny nie przesyła, słowem, postępuje wedle recepty *Odi profanum vulgus et arceo,* ale za to do tych profanów ma pretensje, aby znosili jej pieniądze. Aż tu »wśród nocnej ciszy« odzywa się trzask, wybucha polemika w dziennikach, listach otwartych i broszurach. Akademję i jej gospodarkę wyprowadzają przed forum publiczności...

Pierwsze głosy krytyczne, podające zwłaszcza w powątpiewanie sprężystość gospodarki w Akademji, odezwały się przed paru laty, kiedy to odkryto dość znaczną kradzież w zbiorach, a pokazało się, że zarząd zorjentować się nawet nie może, co mu skradziono. Lecz bomba pękła dopiero tego roku. Po wystawie jeneralny sekretarz Akademji, dr. Stanisław Smolka, wydał list otwarty, w którym niespodzianie skarżył się na obojętność publiczności, zwracał się do niej z wezwaniem o poparcie a przytem poruszył dolegliwości Akademji.

Otóż znalazł się człowiek, p. Stanisław Wyneko Tomkiewicz, który w najlepszej wierze i w szczerej chęci uzdrowienia tej Instytucji, wziął list dr. Smolki na serjo jako wezwanie do dyskusji na ten temat, wydrukował więc parę słusznych i trafnych uwag. Stąd walka — bo pokazało się, że dr. Smolka nie żądał od profanów krytyki, tylko... pieniędzy, więc w odpowiedzi na artykuł p. Tomkiewicza wymierzył weń paruset stronnicowym tomem, o jaskrawej okładce i równie jaskrawym tytule: »W obronie spotwarzonej instytucji narodowej«, jakgdyby sprawiedliwość pozwalała nazwać »potwarzą« w najlepszej woli uczynione wytknięcie wadliwości, które tamują rozwój instytucji. Ton broszury jest wysoce rozdrażniony, gwałtowny, obrażający. Słowa: »profanowanie«, »lekkomyślność«, »zbrodniczość«, »nieprawda«, »fałsz«, nie są najsilniejszymi epitetami, którymi w braku innych argumentów p. Smolka ostrzeliwa obóz przeciwników. Jeśli dziennikarz w zapale walki politycznej, gdzie się nieraz byt swój cały stawia na szalę, użyje czasem ostrych wyrażeń, wtedy panowie z Krakowa z przekąsem prawią o potrzebie »parlamentarnej dyskusji«, ale przecież tak poważnemu sekretarzowi tak poważnej instytucji wolno odrzucić na bok wszelkie względy »parlamentarne«! Na zarzuty p. Tomkiewicza odpowiada jeneralny sekretarz prostem zaprzeczeniem, rozdzieraniem szat nad kalaniem świętości narodowych, któremi są naturalnie kierownicy Akademji. P. Tomkiewicz odpowiedzieć musiał i odpowiedział nadzwyczaj spokojnie, taktownie, przedmiotowo, w broszurze p. t. »W sprawie Akademji Umiejętności, odpowiedź dr. Smolce«.

Broszurka ta przedstawia mniej więcej całą sprawę i stan Akademji, smutny dla niej i dla społeczeństwa, którego potrzebom nieodpowiada, dostroić się do nich niechce, zaskorupia się sama w sobie i ogół do scholastycznej zaskorupiałości naukowej prowadzi.

Pomijamy już czysto polemiczne stronice broszury, chociaż są one bardzo interesującemi dla charakterystyki naszych »powag akademickich« powodujących się osobliwszego rodzaju »sumiennością i ścisłością naukową« jeśli chodzi o zwalczenie przeciwnika. Przystępujemy natomiast do sformułowania zarzutów, które p. Tomkiewicz przeciw Akademji wytacza.

Zarzuty te nie ograniczają się na jakiejś cząstce działalności Akademji, lecz w jaskrawem oświetleniu krytycznem przedstawiają zarówno jej stronę naukową jak finansowo-administracyjną, bo pod jednym i drugim względem Akademji niemało wytknąć można.

Obojętność publiczności naszej dla naukowej działalności Akademji nie może być i nie jest objawem bezpodstawnym, a chociaż p. Smolka stan rzeczy okrasić próbował, rozprawiając w swojej broszurze o znaczeniu Akademji za granicą, o głosie uznania, który ją doszedł... z Japonji, to jednakże nie powstrzymuje ogółu, aby śladem p. Tomkiewicza zastanowił się o ile mniej widocznie odpowiadają wydawnictwa Akademji potrzebom społeczeństwa polskiego niż japońskiego.

Dr. Smolka sam już powiada, że »na Akademji naszej ciężą zadania tak rozległe, jak na żadnej innej instytucji«, ale z tego nie wynika, że ona tym zadaniom odpowiada, jakto zaświadczy choćby przegląd jej nakładów. Prawdziwa manja wydawania »materjałów«, znajdujących się po bibljotekach, gotowa doprowadzić, jak sarkastycznie robi uwagę p. Tomkiewicz, że »dla uczonego w Krakowie przedrukuje się to wszystko, co posiada bibljoteka Ossolińskich we Lwowie, a dla uczonego we Lwowie przedrukuje się wszystko to, o ile ma więcej bibljoteka Jagiellońska w Krakowie«. Drukuje się więc tego rodzaju »białe kruki« jak »Fortuny i cnoty różność w historji o młodzieńcu ukazana«, których cały szereg przytacza p. Tomkiewicz, robiąc słuszną uwagę, że inne narody, które więcej od nas postąpiły mogą sobie na taki zbytek wydawniczy pozwolić, ale nie może, a raczej niepowinna czynić tego uboga Akademja polska, zwłaszcza, że nadaremnie wyczekują jej zajęcia się przedsięwzięcia tak ważne jak wydanie Bibljografji o sztuce polskiej, Encyklopedja »rzeczy polskich«, lub wedle najnowszych źródeł całokształt »Historji« i »literatury polskiej« których niestety nie mamy, a o których gdyby była Akademja w ciągu 30 lat istnienia pomyślała, przysłużyłaby się nieskończenie więcej społeczeństwa niż np. »Marcina Kwiatkowskiego książeczkami rozkosznemi« i wtedy nie potrzebowałaby się skarżyć, że na wydawnictwa swoje nie zyskała w Polsce ani jednego prenumeratora.

Dr. Smolka szczyci się stosunkami Akademji z zagranicą, ale równocześnie oburza go propozycja p. Tomkiewicza, aby ona wydawnictwa swe posyłała naukowym towarzystwom południowo-słowiańskim, gdyż to »uchybiałoby powadze« Akademji. »O tak — odpowiada p. Tomkiewicz — bawmy się w powagi ale tymczasem Petersburg i Moskwa zasypują tę słowiańszczyznę swojemi wydwnictwami«. Tak więc i to wcale niedrobny zarzut, który naukowej działalności Akademji uczynić można. Do rzędu ich przybywają inne, n. p. nieszczęśliwie podjęta i niefortunnie przeprowadzona sprawa ortografji polskiej lub chybione konkursy w rodzaju matematycznego, z fundacji dr. Kretkowskiego, przyczem akademickie *jury*, nawiasem powiedziawszy, niezaprosiwszy do swego grona fundatora, nagrodziło — mylne rozwiązanie!

Wreszcie i »kwestja osób« nie pozostaje bez skazy. Z uczonych jak pisze p. Tomkiewicz, »są nieraz rzeczywistymi, czynnymi członkami uczeni, którzy w życiu nienapisali ani jednego dzieła i nie uczynili ani jednego odkrycia« z literatów zaś tylko niektórzy, »pewnego rodzaju« jak się wyraża p. Smolka, wskutek czego w gronie członków Akademji niema Asnyka, chociaż jest młodszy od niego Sienkiewicz. Ale bo też dr. Smolka w imieniu Akademji przyznał się do tendencji politycznych w jej działalności, pisząc, że ma ona dlatego nieprzyjaciół, bo praca jej »przeszkadza insurekcji«. Czyż zamiast tego wątpliwej wartości »przeszkadzania« nie lepiej było zwrócić baczniejszą uwagę na odrodzenie polskiej literatury i nauki, które się odbywa, ale — bez Akademji?

Mniej może interesującą na pozór jest dla szerokiej publiczności kwestja finansowej administracji w Akademji. Wiąże się ona jednakże ściśle ze stroną naukową, którą krępuje — nieustannym brakiem pieniędzy. Już to, co w swej broszurze przytoczył p. Tomkiewicz, uprawnia go do nazwania administracji złą i gorszącą. Niedobór w r. 1894 wyniósł 14.612 zł., spowodowany nieopatrznością głównie w wydawnictwie książek, których druk dwa razy tyle kosztuje, co kosztować powinien. Nielepiej jest ze zbiorami, darowywanemi Akademji, które, jak to opisał p. Tomkiewicz, co do zbiorów dra Kretkowskiego, często niszczą i marnują się. Wreszcie szczytem wszystkiego jest zarząd Szczawnicą. Zdrojowisko to bowiem Akademji, swojej właścicielce, nie przynosi żadnych korzyści... Dlaczego? Kto się chce o tem choć w części dowiedzieć, niech przeczyta ustępy z broszurki p. Tomkiewicza jakto porobiono w Szczawnicy wodociągi, aby je potem ziemią zasypać, jakto za parcelę, za którą właściciel żąda 600 zł. płaci się 1300 zł. i t. d. Do spraw finansowych policzyć należy wreszcie kwestję ceny wydawnictw, która w Krakowie n. p., zwłaszcza w samej Akademji jest niemożliwie wysoka i w dziwny jakiś sposób unormowana tak, że n. p. »Bibljografja« Estreichera nieoprawna kosztuje 131 zł. a z Poznania można ją sprowadzić za 70 zł., że tomy wydawnictwa zaraz po wyjściu i druku są do nabycia po antykwarniach za czwartą część ceny, a rzecz która w wydaniu Akademji kosztuje po kilka reńskich, w odbitce dostać można za kilkadziesiąt centów, że wreszcie Akademja ogłosiwszy prenumeratę na swe wydawnictwa »po niezmiernie łatwych warunkach« naznaczyła cenę za 20 tomów 150 zł. podczas gdy w księgarni kupione kosztowały one 125 zł. i t. d.

Zresztą dość tego wyliczania. Z broszurki bowiem p. Tomkiewicza wynika jak na dłoni, że Akademja i moralnie i finansowo na złej się znajduje drodze. Że pod względem naukowym, dbając widocznie o ilość wydawnictw nie o ich jakość, może się wprawdzie pochwalić cyfrą to-

mów, zacieśnia jednakże swą działalność coraz bardziej na wydawanie niezawsze »cennych« materjałów, a finansowo liczyć się nie umie z pieniądzmi, z których każdy grosz powinien być posiewem na polskiej niwie naukowej.

Zakończymy słowami dra St. Smolki, któremi i p. Tomkiewicz zamknął swą broszurę, wyrażając przytem nadzieję, że przecież zmieni się na lepsze, bo »w tem położeniu ani marzyć o tem niepodobna, żeby Akademja nasza jęła się jakichkolwiek przedsięwzięć zbiorowych, ogólniejszego znaczenia, któremiby nauka polska z chlubą dla polskiego imienia mogła oddawać rzetelne usługi ogólnym interesom nauki«.

Z Przygnębień.

V.

Z głębin przestworu, z ciemnych chmur, nad wilgotnymi łany,
Jak srebrny opar wstaje duch z promieniem wokół głowy:
Rośnie w mych oczach, niebios tór rozjaśnia mgłą owiany,
Strząsa ostatni śniegu puch z swej sukni lazurowej.

Uderza w róg swój: szumi bór i szumią rzek bałwany,
Ziemia wytęża wszystek słuch i rychło na dąbrowy,
Na senne niwy wiedzie chór swych dzieci rozśpiewany,
Błogosławiących twórczy ruch, okrytych w liść majowy.

I moja dusza chłonie wraz ten hymn, budzący zioła,
Rwie się do wonnych światła fal, lecz widzi poniewoli,
Że się w liść świeży, jak ten las, naodziać już nie zdoła.

Mrok ją ogarnia, mrok i żal: skarży się swojej doli...
I duch, co życia przywiódł czas, gasi swój blask u czoła
I razem z nią w bezmierną dal szumi pieśń melancholji.

VI.

Ach! nieraz mi się zdaje, gdy tak samotny kroczę
W zachodu cichem złocie, zadumą ogarnięty,
Że cień, co długi wstaje z pod nóg mych i swe mrocze
Na ziół tych ściele krocie, nie ze mnie jest poczęty.

Lecz, że z przeszłości fali, czy z przyszłych dni głębiny
Hen! tam, gdzie ziemi końce, byt jakiś, tu nieznany,
Wychylił się w oddali i że cień jego siny
Dnia dzisiejszego słońce, mrąc, rzuca na te łany.

I tęskność duszę chwyta na wirchy gdzieś tajemne,
Lecz wraz ku memu łonu zbliża się lęk ponury:
Ach! widzę, jak, okryta w całuny mgławic ciemne,

U stóp mych przepaść dyszy głębokiem, cichem tchnieniem;
Jak przed zjawiskiem skonu, zwrócony do purpury
Zachodu, drżę w tej ciszy — przed swoim własnym cieniem.

Jan Kasprowicz.

Chłopi i studenci w Danji.

I.

Z powodu uroczystości otwarcia Kanału Północnego wydało stowarzyszenie dziennikarzy duńskich w Kopenhadze niewielką, ale za to nader interesującą broszurę o dwóch doniosłych czynnikach społecznego życia w Danji: o chłopach i studentach.

Ze względu na ważność kwestji, ze względu dalej, że my tu w Galicji, a w znacznej mierze wogóle w Polsce nie mamy prawie wyobrażenia o wysokim poziomie, na jakim pod względem oświaty, pod względem udziału w życiu polityczno-społecznym znajdują się chłopi skandynawscy, ze względu dalej na to, że u nas powszechna niemal panuje obawa przed powołaniem szerokich warstw ludowych do zaważenia na szali wypadków dziejowych, podajemy wspomnianą książeczkę czytelnikom naszym częścią w streszczeniu, częścią dosłownie przytaczając niektóre jej ustępy.

Najistotniejszą cechą Danji — powiadają autorowie broszurki — jest wysoki stopień kultury, na jakim stoją szerokie warstwy ludności, zwłaszcza zaś chłopi, których norwegski poeta Bioernstjerne Bioernson nazwał najoświeceńszym stanem włościańskim w świecie.

Stan ten zawdzięcza Danja częścią własnym zabiegom warstw wspomnianych, częścią zaś wspólnemu działaniu wszystkich w ogóle klas społeczeństwa. Nie ma też kraju, któryby pod tym względem Danji dorównywał. Cudzoziemcy, zawitawszy do tego kraju, przekonają się, jak ścisłe łączą węzły poszczególne warstwy narodu.

Czasopisma duńskie średnich są rozmiarów, atoli w stosunku do liczby mieszkańców rozpowszechnienie ich nadzwyczaj jest wielkie: w stosunku tym drukuje ich Danja niepomiernie większe nakłady, aniżeli jakikolwiek inny kraj na świecie. Po wsiach i miastach nie ma domu, któryby nie abonował jednego przynajmniej dziennika. We wszystkich miasteczkach prowincjalnych drukują po dwa albo więcej pism codziennych, rozchodzących się po wsiach w kilku lub kilkunastu tysiącach egzemplarzy. Nie mniej wielka jest także liczba poczytnych pism perjodycznych. W kraju tym, posiadającym zaledwie $2^1/_4$ miljona mieszkańców, istnieją dwa tygodniki ilustrowane, z których każdy ma 70.000—80.000 abonentów, jeden tygodnik, liczący 20.000 abonentów, i kilka innych, nieco mniej rozpowszechnionych.

W r. 1894 pojawiło się 1188 nowych książek, pomiędzy temi 337 treści beletrystycznej.

Do tego rozwoju oświaty przyczynili się niepomału s t u d e n c i.

Życie studentów skandynawskich posiada odrębne zupełnie cechy — odmienne całkowicie od życia studentów francuskich i niemieckich,

a po części inne, niż życie studentów angielskich. Studenci skandynawscy nie noszą uniformów, wyjąwszy małe czapeczki i specjalne mundury »akademickiego stowarzyszenia strzeleckiego«. Pojedynki nieznane, pijatyki zdarzają się nader rzadko. Pod względem towarzyskim zajmują studenci duńscy to samo stanowisko, jakie w Niemczech przypadło w udziale oficerom. Jako stan tworzą studenci dwie główne grupy: stowarzyszenie konserwatywne i liberalne, a zadaniem ich wzajemne pouczanie się zapomocą odczytów i dyskusji oraz uprawianie życia towarzyskiego na szerokie rozmiary.

W ostatnich latach pięćdziesięciu istniała pomiędzy studentami wszystkich uniwersytetów skandynawskich ścisła łączność, która zwłaszcza w czwartym i piątym dziesiątku lat przyprowadzała do skutku doniosłe zgromadzenia studentów skandynawskich. Liczba studentów wszechnicy kopenhagskiej wynosi 2000, pomiędzy temi około stu kobiet.

Liberalne stowarzyszenie studentów (»*Studentersamfundet*«) założone zostało w r. 1882 pod hasłem: »Łączność z innemi warstwami narodu«. Dla tego też zarząd jego starał się zawsze, ażeby w urządzaniu odczytów brali udział przedstawiciele wszystkich stronnictw, wszystkich prądów i odcieni życia politycznego i społecznego Danji. Politycy konserwatywni, liberalni i socjalno-demokratyczni, przewódcy religijni i inni przemawiali niejednokrotnie na tygodniowych zebraniach. Dzięki studenckiemu klubowi temu, który nie liczył nigdy więcej członków ponad 550, powstały stopniowo następujące, ogolnemu dobru oddane instytucje:

1) Związek studencki celem nauczania robotników (z. r. 1882). Od tego roku począwszy uczyło robotników każdej zimy około stu nauczycieli płci męzkiej i żeńskiej ze sfer studenckich, w wieku przeciętnie lat 24, następujących przedmiotów: języka duńskiego, niemieckiego i francuskiego, kaligrafji, rachunków, buchalterji, matematyki, fizyki, chemji, historji, ekonomji etc. W tym celu wydawane bywają tanie podręczniki, przeznaczone przedewszystkiem dla robotników. Podręczniki niemieckie i angielskie wyszły obecnie w czwartem wydaniu, wynoszącem około 3000 egzemplarzy. Pierwotnie udzielano nauki w domach prywatnych, później zaś w lokalach szkół miejskich. Podobne instytucje utworzono także w kiku miastach prowincjonalnych.

2) Komisja stowarzyszenia studenckiego dla wydawania drobnych a tanich pisemek puściła w świat od r. 1884 wielką ilość pouczających, dla ludu przeznaczonych broszur ulotnych, sprzedawanych po 10—20 fen. a pomiędzy chłopami zwłaszcza nadzwyczaj rozpowszechnionych.

3) Bezpłatna pomoc prawna stow. stud. dla osób niezamożnych, założona w r. 1885, prowadzona przez młodych adwokatów, którym dopomagają studenci. Wszyscy pracują bezinteresownie i udzielają bezpłatnej pomocy prawnej osobom niezamożnym. W r. 1894 korzystało z biura tego około 21.500 osób. Liczba adwokatów i ich pomocników, zajmujących się tą sprawą, wynosi około stu osób.

4) Wydział muzealny stow. stud. założony w r. 1892, zajmuje się sprowadzaniem warstw ludowych do odwiedzania muzeów krajowych — również bezpłatnie. W tym celu wydają studenci tanie ilustrowane pismo, traktujące o muzeach i zbiorach.

5) Wolny teatr stow. stud., założony w r. 1891, liczy obecnie 1150 członków i wystawił dotychczas 15 dramatów, pomiędzy tymi 9, napisanych przez autorów duńskich i norwegskich.

Oprócz tego stowarzyszenia te zajmują się urządzaniem odczytów w miejscowościach prowincjonalnych, w Kopenhadze zaś odbywają się każdej niedzieli także bezpłatne odczyty. Prowincjonalne dzienniki zaś otrzymują raz lub dwa razy tygodniowo naukowe, pisane przez młodych uczonych, a dla szerokich warstw przeznaczone artykuły.

W związku z powyższymi objawami życia studenckiego nadmienić wypada, że w kilku dzielnicach Kopenhagi istnieją kliniki lekarskie i że zarówno w stolicy jak i po miastach prowincjonalnych zajmuje się młodzież akademicka urządzaniem tanich koncertów, na które uczęszcza wielka liczba robotników.

Tego rodzaju praca sprowadziła kontakt młodzieży akademickiej z innemi warstwami społeczeństwa, stwarzając niesłychanie doniosłą dla rozwoju ogólnego solidarność. Członkowie stowarzyszeń studenckich zażywają nietylko popularności śród robotników, ale i w sferach chłopskich; demokracja chłopska niejednokrotnie dawała dowody swej sympatji ku swoim przyjaciołom, zapraszając stowarzyszenie na rozmaite uroczystości narodowe. Studenci zamieszkują wtedy u chłopów, a młodzi uczeni przemawiają z trybun razem z chłopami.

Studenci duńscy zajmują się także wszelkiego rodzaju sportem i muzyką. Istnieje kilka klubów sportowych, a »studenckie stowarzyszenie śpiewackie« odwiedza co roku miasta prowincjalne i urządza w nich wspaniałe uroczystości i koncerty.

Kartki z współczesnego dziennika.

Stefan Żeromski. — »Opowiadania«. — Warszawa. U Teodora Paprockiego i S-ki. 1895.

Pierwsze nowele p. Żeromskiego ukazały się w *Głosie* warszawskim przed laty pięciu czy

sześciu. I natychmiast, mimo że pismo nie należało do najpoczytniejszych, a autor nie był zbyt płodnym, można było spostrzedz, że nowele te budzą zainteresowanie w publiczności i nie przeminą bez śladu, jak mnóstwo innych debiutów w gościnnym dla »młodych sił« *Głosie*. Rzadko bardzo zdarza się, żeby bohater jakiejś powieści stawał się, że tak powiem, przezwiskiem. Przy całej poczytności »Lalki« lub »Nad Niemnem« nazwiska Wokulskiego lub Witolda nie służą dziś do określenia tego lub owego typu w życiu. W ostatnich czasach przywilej ten zyskał może jeden tylko Płoszowski i nawet osoby, które nigdy nie czytały »Bez dogmatu« mówią: »coś w rodzaju Płoszowskiego«, chcąc określić typ zblazowanego pessymisty.

Tymczasem taka właśnie popularność, przynajmniej w pewnej sferze inteligencji i młodzieży warszawskiej, stała się udziałem jednej z postaci p. Żeromskiego.

Wkrótce po ukazaniu się jego »Siłaczki« w tym samym *Głosie* wszczęła się polemika o jej bohatera Dr. Obareckiego z Obrzydłówka. Redakcja otrzymała mnóstwo listów z zapadłych kątów prowincji, w których czytelnicy stali i przygodni już to napadali na Obareckiego, już to wymyślali na swój własny »Obrzydłówek« t. j. Kozienice, Grojce, Kutno lub inny Pacanów. »Obrzydłówek« stał się w sferze młodej, rozjeżdżającej się z uniwersytów, inteligencji synonimem zapadłej, prowincjonalnej dziury, a dr. Obarecki przezwiskiem przeciętnego »pioniera cywilizacji«, wyruszającego z ideami i zamiarami na posadę do Obrzydłówka. Przed kilku jeszcze tygodniami, przeglądając w »*Prawdzie*« polemikę o studentki-polki zagranicą, spotkałem się z nazwą Obrzydłówka, stosowaną w powyższem znaczeniu. Przypominam sobie również inną nowelę p. Żeromskiego p. t. »Ananke« (Przeznaczenie), nad którą czytelnicy tegoż *Głosu* łamali sobie głowy, szukając słowa zagadki. Nowela opowiadała znowu o nędznym panu Ignacym, który piastował godność pocztmistrza w zapadłem miasteczku. Pewnego dnia, autor przyjeżdżając po list od ukochanej, nie zastał w kancelaryjce żadnego z siedmiorga dzieciaków p. Ignacego i nie usłyszał za przepierzeniem głosu jego zapracowanej, a wiecznie płodnej małżonki. Pan Ignacy w swej wyplamionej surducinie miał oczy czerwone i nie rychło począł odpowiadać na zapytania. »Trzeba było chłopca do szkół oddawać — kraść nie mogłem — trzeba było znaleźć sposób«.

I znalazł sposób, ale żona zabrała dzieci i ruszyła z niemi w świat... Jestem pewien, że czytelnik nie rozumie, jaki sposób na poprawienie losu znalazł biedny urzędniczyna. Studenci warszawscy również nie zawsze wpadali na trop, a już nie mógł zrozumieć noweli żaden porządny filister. Tymczasem pan Ignacy po prostu przyjął prawosławie. Każdy jednak, kto czytał »Ananke«, choć nie zgadł od razu »sposobu« czuł, że tu »c o ś« musi być, coś brzydkiego, podłego, »c o ś« co się zdarza, jak fatalność, od czasu do czasu w kraju zabranym...

Taki był debiut p. Żeromskiego: coś, takie »c o ś« nie dające się odpędzić, coś bardzo znanego, jakiś ból współczesny, jakieś troski dnia bieżącego przynosiła każda jego nowela. I nie była to t. zw. tendencja utworu, nie był to morał na końcu noweli czekający wraz z wrażeniem niesmaku na czytelnika, ale taki już właściwy autorowi kąt patrzenia na rzeczy. Nigdzie tytuł nie zapowiadał sakramentalnie oklepanych »Dwóch prądów« czy »Błękitnych«, a zawsze biła z utworu gorycz walk i starć współczesnych, krążyły w nim, jak krew, myśli i dążenia współczesne, czasem tak doraźnie, w sposób znajomy wypowiedziane, jakby echa niedawnej dysputy, jakby fale własnych żalów i rozczarowań czytelnika.

Od owych pierwszych prób nic się nie zmieniło w sposobie pisania p. Żeromskiego. Tom świeżo wydany zebrał w całość te palące i płaczące tematy, które poruszał różnemi czasy autor. I jeżeli czytelnik chce na chwilę wtajemniczyć się w myśli i uczucia tych »społeczników«, »patrjotów«, »kosmopolitów« i t. p., których pokolenie dostarczało ostatnimi czasy tylu wykolejonych, wywożonych, a zawsze oddanych jakiejś »sprawie« — niech weźmie do ręki tom p. Żeromskiego. Są to jakby kartki z dziennika bardzo współczesnego, na których drga boleśnie parę zasadniczych strun duszy młodzieży naszej.

(D. c. n.)

MARZYCIEL.

Obrazek z bruku warszawskiego

Przez

KLEMENSA JUNOSZĘ.

Pokoik był mały, akurat dla kawalera. Siedm kroków wzdłuż, cztery na szerokość, jedno okno, jedne drzwi wprost kurytarza, jeden piec. Okno wychodziło na podwórze, kwadratowe, zabudowane ze wszystkich czterech stron.

Umeblowanie pokoju odznaczało się wielką prostotą. Łóżko żelazne, stół do pisania, trzy krzesełka wyplatane, szafka na rzeczy, mały stolik, na nim maszynka naftowa do gotowania herbaty, dzbanek, miednica oto i wszystko. Możnaby mniemać, że jest to cela dla mnicha, gdyby nie fotografja znajdująca się na stole. Fotografja duża, formatu gabinetowego, oprawna w ramki pluszowe, przyozdabia stół, a przedstawia pannę Teofilę.

Mówią, że fotografja to bardzo dobra, ale o tyle o ile.

Bezduszny, martwy aparat odtworzy z dokładnością drobiazgową wszystkie fałdy sukni, najdrobniejszy deseń koronkowej zarzutki, ale nie uchwyci i nie odda blasku źrenic, uśmiechu, nie odtworzy tej siły magnetycznej, która przyciąga do oryginału.

Ostatecznie wszyscy znajomi zgadzają się na to, że ta fotografja zła nie jest i niby tak. Taka sama twarz, takiż nosek cokolwiek zadarty, grzywka nad czołem, bródka zaokrąglona, drobne ładnie zarysowane usta, ale do oryginału jej daleko.

Niezawodnie podczas fotografowania sprawiało pannie Teofili pewien kłopot wielkie szklane oko maszyny, uparcie w nią wpatrzone, żenował ją też zapewne i sam fotograf, zalecający zachowanie się spokojne.

Zabawny człowiek! On sobie wyobraża, że to bagatela siedzieć przez całe pół minuty nieruchomo, z oczami utkwionemi w jeden punkt, nie zmieniając ani wyrazu twarzy, ani uśmiechu. Zdaje mu się, że to nic!

Taką sztukę potrafiłby zapewne wykonać wujaszek Marceli, poważny rachmistrz i kasjer fabryki odlewów metalowych, albo też ciotka Weronika, mająca sklepik norymberski na Hożej ulicy. Chociaż i za ciotkę ręczyć nie można, ta bowiem co chwila czegoś zapomina i co moment coś sobie przypomina, przez co twarz jej jest w nieustannym ruchu; maluje się na niej to obawa i zakłopotanie, to znowuż radość. Przytem ciotka Weronika nieustannie mówi i ma taki zwyczaj, że myśli swe wyraża nietylko zapomocą głosu, ale i przez nader żwawą gestykulację, więc niewiadomo, czyby się fotografja udać mogła.

Panna Teofila bo przemogła się, musiała to uczynić dla bardzo wielu przyczyn. Portrecik jej pragnęli mieć rodzice, wuj Marceli, ciotka Weronika, no... i ten pan się przymawiał. Niepodobna było odmówić. Oprócz tego i sama chciała mieć swój wizerunek.

Przyjaciołki jej i rówieśniczki: Józia, Stefcia, Helenka fotografowały się już kilkakrotnie a jej tak jakoś schodziło, że jeszcze ani razu nie miała tej przyjemności. A rzeczywiście to jest przyjemność, zwłaszcza, gdy fotografja dobra. Figuruje w albumach, znajomi oglądają, nieznajomi zapytują: »kto jest ta śliczna, młoda osoba?«, przyjaciółki zaś zazdroszczą.

Nic nie szkodzi, od tego jest przyjaźń.

Było z owem fotografowaniem się niemało kłopotu, przez kilka dni panna Teofila nie mogła się namyśleć, jak należy się ubrać; nie zasięgała rady przyjaciółek, bo w takim ważnym wypadku żadna nie odpowie szczerze i słusznie można się obawiać podstępu, nie pytała o zdanie matki, ta bowiem była bardzo zajęta i nie odznaczała się wyrobionym gustem, trzeba się było udać o pomoc do ciotki Weroniki.

Ta przecież powinna się znać. Panie nabywające w jej sklepie woalki, wstążki, wstawki i rozmaite drobiazgi toaletowe, zwykle zasięgają jej rady i proszą o pomoc w wyborze, a chociaż zwykle odmieniają nabyte przedmioty po kilka razy, jednak są przekonane najmocniej, że pani Weronika zna się na wszystkim wybornie. Oczywiście, gdzie można nabrać więcej praktyki i doświadczenia aniżeli w takim sklepie? Ileż to tam w ciągu dnia można wysłuchać traktatów z dziedziny estetyki!

Panna Teofila wybrała się do cioci przed południem, kiedy mniej kupujących w sklepie bywa. Pani Weronika porządkowała towary na półkach, przy pomocy dziesięcioletniej dziewczynki, Zośki, odbywającej u niej nowicjat handlowy w charakterze tak zwanego »popychadła«.

Ujrzawszy wchodzącą, ciocia zręcznie zeskoczyła z drabinki i obsypała zarumienioną twarzyczkę panny Teofili gradem pocałunków.

- Ach, jak się masz, Filciu! Ślicznie zrobiłaś, żeś przyszła. Właśnie myślałam o tobie, ba... masz tobie, zapomniałam! Czekajże, zaraz... Zośka! proszę poukładać natychmiast te podwójne szpilki. Skaranie Boże z tą dziewczyną! aha, przypomniałam sobie. Jakże się ma twoja mama?

— Dziękuję cioci, dobrze.

— Dobrze! to bardzo dobrze. Ja bo niedomagam, ciągle niedomagam.

— Cóż cioci jest?

— Zgniewałam się na Zośkę. Ta dziewczyna nieraz doprowadza mię do rozpaczy, a jak wrócę do domu, to znów muszę się gniewać na Marjannę, bo niema dnia, żeby jakiej szkody nie zrobiła. Coś chciałam ci powiedzieć... nawet wybierałam się do was z tą nowiną umyślnie. Aha! nic nie wiecie jeszcze..

— Nie.

— Marceli się żeni!

— Wuj Marceli? Niepodobna!

— Ciekawam dlaczego? Mężczyzna choćby nawet stuletni, ma jeszcze głupstwa w głowie.

— Ciociu! alboż małżeństwo...

— Głupstwo... możesz mi wierzyć. Jestem wdowa i powiadam, że to także głupstwo.

— Ale wracając do wuja Marcelego, trudno uwierzyć, przecieżby nam coś o tem powiedział.

— A nie, sekret. U nich zawsze sekret!

— U kogo?

— No, u nich, u mężczyzn, to już widać familijne.

— I kogoż to wujaszek chce uszczęśliwić swoją ręką?

— Przedewszystkiem ciebie.

— Mnie?

— Naturalnie, bo jak się ożeni, to ci nic nie zapisze, a zdawało się... Ach, zapomniałam.

Chciałaś wiedzieć, kto będzie twoją wujenką. Słowo ci daję, nie wiem, sekreta, same sekreta! Jeszcze będzie wielka łaska, jeżeli na ślub zaprosi, ale mniejsza o to. Nie, to nie.

— W każdym razie dowiemy się. Moja kochana ciociu. Ja bo tu przyszłam z prośbą.

— Co chcesz? Cały sklep jest na twoje rozkazy. Jeżeli bagatelka, dostaniesz darmo, jeżeli większa rzecz, to po cenie kosztu. Tylko na kredyt, wybacz, ale nie dam; już mi te rachunki kością w gardle stoją. Zośka, byłaś dziś u tej pani z przeciwka?

— Byłam — odezwała się dziewczynka.

— I cóż?

— Powiedziała, że sama przyjdzie popołudniu i zapłaci.

— Zawsze jesteś niezdara i nigdy nic nie załatwisz jak trzeba.

— Kochana ciociu — wtrąciła pana Teofila.

— Aha, przypominam sobie. Chciałaś coś kochaneczko, ależ proszę cię bardzo, cały sklep jest do twojej dyspozycji.

— O co innego chodzi. Mam zamiar fotografować się.

— Nic słuszniejszego. Ślicznie robisz. Fotografja to pamiątka. Widziałaś tę moją z przed lat dwudziestu? Co?

— Widziałam. Bardzo a bardzo...

— Chcesz powiedzieć, żem była przystojna.

— O tak.

— Nieboszczyk mój mąż zawsze to mówił. Głupstwo! Wszystko przemija, ale czasem miło wspomnieć. Więc jakże to? bo zapomniałam, aha! fotografować się chcesz? Doskonale, tylko proszę nie zapominaj o ciotce, jeden egzemplarz musisz mi dać. Będzie w albumie, wiesz w tym pąsowym, bo zielony ma inne przeznaczenie. Pamiętajże.

— Ależ, owszem cioteczko, tylko niech mi ciocia poradzi, jak się mam ubrać.

Ciotka zrobiła minę bardzo poważną i po namyśle odrzekła:

— Widzisz, tak na poczekaniu trudno. Rzecz jest bardzo ważna i wymaga namysłu. Nic łatwiejszego jak strzelić bąka. Zostaniesz u mnie na obiedzie i naradzimy się.

— Rodzice czekać będą.

— Nic nie szkodzi, zresztą od czego Zośka? pobiegnie i da znać. No, słyszysz mała, idź i zaraz wracaj.

Jeszcze pani Weronika mówić nie skończyła, jak dziewczyna, trzasnąwszy drzwiami, wybiegła na ulicę.

— Jedno z dwojga — rzekła sentencjonalnie ciotka — albo będzie z niej kobieta pełna energji, albo dwunastej próby latawiec.

— Kto ciociu?

— Ano... jakże ją... zapomniałam. Ach tak... naturalnie, Zośka.

— Dobre jakieś dziecko.

— To też właśnie trzymam ją krótko, żeby się nie popsuła. Wczoraj wytargałam ją za uszy.

— Ach ciociu, jakżeż można!

— Trudno, jeżeli chce zostać kiedyś sklepową to niech się uczy za młodu. C. d. n.

Z literatury bieżącej.

Dr. Aleksander Hirszberg »Grecja«, wrażenia z podróży. — T. T. Jeż »Żusia«, powieść współczesna w trzech częściach. — Walerja Marrené »Przeciw prądowi«, powieść w 2 tomach. — Abgar Sołtan »Niema metryki!« obrazek z życia ludu podolskiego i »Polubowna ugoda«, powieść. — S. Peplowski »U kolebki teatru« i »Bogusławski we Lwowie«, nakłady księgarni Jakubowskiego i Zadurowicza we Lwowie. — K. J. Gorzycki »Kwestja lennego zwierzchnictwa Polski do Pomorza«. Lwów 1895. — K. Bartoszewicz »Rok 1863, historja na usługach ludzi i stronnictw«. Kraków, nakładem autora.

Niesłusznem jest twierdzenie, że Polacy, w dawnych wiekach tak zamiłowani w podróżach, dziś odwykli od nich, Owszem dziś podróżuje się u nas więcej niż kiedykolwiek, ale też inaczej. Uwijają się bowiem po świecie, roznosząc wątpliwą sławę polskiego imienia, przeważnie ludzie, którym albo nawet takiej roboty jak spisywanie wrażeń jąć się nie chce, albo też tacy, co nic do powiedzenia nie mają. Stąd też opis podróży w naszej literaturze jest zjawiskiem rzadkiem i tem bardziej pożądanem.

W podróżniczej zaś literaturze naszej bodaj czy nie najbardziej upośledzoną jest klasyczna ziemia sztuki — Grecja. W ostatnich dopiero czasach Sienkiewicz rzucił garść wrażeń z podróży po tym kraju.

Podnosić ten przedmiot po Sienkiewiczu, którego szkic naturalnie pełen był efektów stylowych, wydać się może rzeczą ryzykowną, lecz w istocie opis podróży wymaga wielkiej naturalności i jeżeli wykrzesać się zeń da choć jedno nowe spostrzeżenie, choć jedno nowe spostrzeżenie, choć jeden ciekawy fakt, zadanie swoje on spełnia. Bezpretensjonalnemu zaś sprawozdaniu p. Hirschberga z wycieczki w krainę Sofoklesa, nie można zarzucić, aby takich obserwacji nie podawało. Interesującem jest n. p. scharakteryzowanie wysoko rozwiniętego w nowożytnej Grecji ducha ofiarności publicznej, z innego znów, estetycznego zakresu: stwierdzenie dlaczego budowle staro-greckie z dala wydają się wyższemi niż są w istocie, wreszcie społeczny obrazek: jakto nawet w najniższych, najmniej wykształconych sferach w Grecji, n. p. wśród małomieszczan, ożywionem jest zajęcie się sprawami publicznemi, swojemi i obcemi, ba nawet polskiemi. Wyrobienie się to, tak biednego w gruncie rzeczy społeczeństwa, poszło niewątpliwie w ślad za konstytucją grecką, najliberalniejszą w Europie. »Każdy Grek, który ukończył rok 21 — pisze dr. Hirschberg — jest obywatelem wyborcą. Władzę wykonawczą sprawuje odpowiedzialne wobec sejmu ministerstwo, a prawodawczą izba poselska, składająca się z 155 członków, wybieranych w wyborach bezpośrednich. Władzy tej nie ogranicza ani

»veto« królewskie, ani też izba wyższa, zniesiona po ostatniej rewolucji. Każdy obywatel liczący 30 lat życia, może być wybrany posłem. Prócz tego poręcza konstytucja zupełną wolność osobistą, bezpłatną naukę w szkołach ludowych, średnich i wyższych, wreszcie niczem nie krępowaną wolność prasy, zgromadzeń i stowarzyszeń«. To jest tajemnica i gwarancja żywotności społeczeństwa greckiego, chociaż autor nie umie tego faktu dostatecznie ocenić. Mimoto w książeczce dr. Hirschberga przybywa niejako nowy »morał« dla tych co to podróżują, sami niewiedząc po co i dla czego.

Niestety pod tem smutnem hasłem wiele innych rzeczy ważniejszych od podróży w naszem społeczeństwie się dokonywa, zwłaszcza wśród sfer, które rozporządzając znaczniejszemi środkami materjalnymi, mają pretensję do nazwy »wyższych« Tę właśnie ich czczość, apatję i dobroduszną jakąś bezmyślność scharakteryzował Jeż w najnowszej swej powieści. »Żusia« stanowi »ważny wypadek« w obecnej naszej literaturze, nietylko dlatego, że na tę nazwę zasługuje każdy utwór autorów miary Jeża, ale także iż w »Żusi« talent o tak wyrobionej fizjonomji i niemłody wreszcie, odsłania swe jakoby nowe a charakterystyczne piętna, stwierdzając tem swą niegasnącą żywotność. »Żusia«, właściwa bohaterka powieści, w pierwszych dwóch częściach dziecko, w trzeciej dorosła panna, to piękny kwiat, który rozwinął się w napozór niajniekorzystniejszej sferze. Część pierwsza opisuje grunt, na jakim mu rość kazano, Widzimy więc hrabiostwo Pieckich we Wiedniu, dokąd przenieśli się »sami nie wiedząc poco i dlaczego«, z dziedzicznych ich Gajów, które im ponadto niosą 30.000 złr. rocznego dochodu. Jest to małżeństwo idealnie dobrane: oboje pogodnie apatyczni i w gruncie oszczędni, oboje mają równie płytkie umysły, nigdy więc starć pomiędzy nimi nie ma. Na bruku wiedeńskim ona zbiera laury najmodniejszej kobiety, on marzy o tece ministerjalnej, a raczej nie hrabia Piecki marzy, tylko inni za niego, a on — gotów jest przyjąć tekę, jeśli mu ją ofiarują. Ci co mają w tem interes, spodziewają się zdobyć dlań godność ministra przez hrabinę, której przeznaczają »szczytną misję« »rozruszania« jednej z latorośli wielkiego książęcego rodu. Od katastrofy chroni hrabinę jedynie jej apatja i »dobry grunt« jej natury, jak się autor wyraża.

W tym czasie i wśród takich warunków rosła »Żusia«, zupełnie zaniedbana przez rodziców, troskliwie za to pielęgnowana przez Justynę, starą piastunkę matki jeszcze, która zwracała uwagę całego Wiednia swemi bosemi nogami, a dziecko karmiła opowieściami o »dziadzie w czerwonych butach«, o »kozie, co miała pół boku obdartego i nóżkami tupała« i najwięcej wreszcie o Gajach, które w ustach piastunki stawały się ósmym cudem świata.

W tem nagle hrabiostwo Pieccy, znów sami niewiedząc dla czego, wysłali Żusię do Gajów i tam już ją zostawili. Dziecko odżyło wśród natury, na której piękności otwierała mu oczy Justyna, a pod wpływem nauczycielki Francuski, p. Kaniowskiej, żony pełnomocnika pp. Pieckich i miejscowego księdza, rozwijało się coraz potężniej, duchowo i moralnie. A kiedy po latach do Gajów z żoną zawinął hr. Piecki, który tymczasem, ogarnięty chińsko-politycznym bzikiem, zdołał mocno zaszargać majątek i chce córce, dorosłej już panience, zapewnić przyszłość przez bogate zamążpójście, plan jego, a raczej znów nie jego, tylko mu przez innych podsunięty, okazuje się płonnym, bo Żusia znalazła już sobie innego towarzysza dozgonnego. Jest nim Prokop, syn Kaniowskich, który mimo kalectwa, obdarzony jest potężnym talentem poetyckim. Żusia umierającej matce jego przysięgła, że się nim opiekować będzie »jako matka, siostra i żona« i przysięgi dotrzyma.

Klejnotem prawdziwym w tej powieści jest postać Żusi, to też część druga, gdzie Żusia jako dziecko jeszcze, niemal niepodzielnie występuje na pierwszym planie, jest najpiękniejszą, a figle Żusi, strapienia, śmiechy i rozmowy, jakie prowadzi z Justyną, mają czar nieporównany. Czytelnik zdziwiony jest, że autor, który przez całe życie zapatrzony był w ważne społeczne zadania, zna tak wybornie dzieci i z taką subtelnością umie je przedstawiać. Jednak umysły, powołane do przodownictwa literackiego, odznaczają się tem właśnie, że obserwacja ich nigdy nie bywa jednostronną. Jest to jakby szereg nadwyczaj czułych płyt fotograficznych, na których wszystkie bieżące wypadki ze wszystkimi szczegółami się zapisują. Wybór autora może jedne z nich podnieść, inne pominąć, ale te, które złożone zostały do duchowego archiwum, nie giną i po latach, w razie potrzeby, występują z całą wyrazistością.

Doskonała jest także część pierwsza a zwłaszcza wizerunek w niej wiedeńskich sfer arystokratycznych, które nie patrzą, czy fundamenta, na jakich budują swoje »idee«, nie spoczywają przypadkiem na — bagnie.

Część trzecia przesiąknięta jest znowu blaskiem wymarzonej szlachetności i poświęcenia. Być może, iż w życiu te jasne barwy zszarzałyby, że nawet przykładów takiego zaparcia się nie znalazłoby się, ale po przeczytaniu »Żusi« czuje się prawdziwą wdzięczność dla autora, że przynajmniej wykazał, iż życie mogłoby być tak pięknem!

Z niezmąconem więc zadowoleniem dobiegają oczy do końca ostatniej stronicy.

Czy rzeczywiście z niezmąconem?... Ach! owszem i tu znajduje się owo nieśmiertelne »ale«. Jest niem barbarzyńska poprostu korekta! Już przez sam szacunek dla autora, jeśli nie we własnym interesie, wydawcy niepowinni byli dopuścić, aby stronice książki roiły się tak potwornymi błędami drukarskimi.

Dok. n.



PRO MEMORIA.

15. lipca 1809. Wojsko polskie pod dowództwem ks. Józefa Poniatowskiego wkroczyło do Krakowa przy tryumfalnych okrzykach mieszkańców: Niech żyje Napoleon! Niech-żyje Polska!

16. lipca 1800. Zawiązało się w Warszawie Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

16. W Krakowie została założona Szkoła sztuk pięknych, której dyrektorem mianowano Jana Matejkę.

16. lipca 1874, Zmarł pod Brukselą Wiktor Heltmann.

17. lipca 1773. Sejm uchwalił złożyć komisję edukacyjną i uposażyć ją dobrami po-Jezuickiemi, które przedstawiały w samej tylko ziemi wartość 32 miljonów prócz domów i ogromnych kapitałów.

17. lipca 1792. Kościuszko stoczył z wojskiem moskiewskim sławną bitwę pod Dubienką nad Bugiem.

18. lipca 1863. Powstańcy stoczyli zwycięską bitwę pod Janowem.

20. lipca 1887. Pogrzeb Agatona Gillera w Stanisławowie.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.